

Ojciec Amable



GUY DE MAUPASSANT

Ojciec Amable

TŁUM. ANONIMOWY

I

Wilgotne i szare niebo zdawało się wisieć nad szeroką ciemną doliną. Zapach jesieni, smutny zapach nagiej i wilgotnej ziemi, opadłych liści, martwych ziół, czynił jeszcze gęstszym i cięższym powietrze jesiennego wieczoru.

Wieśniacy pracowali jeszcze, rozproszeni po polach, oczekując dzwonu na Anioł pański, któryby zwołał ich do chat, widzianych tu i ówdzie, po przez gołe gałęzie sadów.

Na kraju drogi, na kupie badyli bawiło się ziemniakami małe dziecię, podrzucając nimi na nędzną sukieneczkę rozpostartą na szeroko rozłożonych nóżkach, podczas gdy w pobliżu, na roli, pięć kobiet schylonych kopało ziemniaki.

Powolnym i monotonnym ruchem zagłębiały kopaczki w wysokich, piaszczystych bruzdach, wygrzebywały rękami ziemniaki, wrzucając je do stojących przed nimi worków.

Drogą przeszedł młody mężczyzna z batem w ręce w sabotach na nogach, — zatrzymał się przy dziecku, wziął je na ręce i pieścił. Jedna z kobiet na roli wyprostowała się i zbliżyła się do niego. Była to roślą, czerwona dziewczyna, szeroka w biodrach i piersiach, wielka samica normandzka o jasnych włosach i rumianej cerze.

Tonem stanowczym odezwała się:

— A, to był Cezar, — no i cóż nowego mi powiesz?

Mężczyzna, chłopak nędzny, o smutnym wyrazie twarzy odburknął:

— Ja? nic nowego, zawsze to samo.

— On nie chce?

— Nic chce...

— Cóż zatem robisz?

— Czy ja wiem sam co robić?

— Idź do proboszcza.

— Dobrze, pójdę...

— Ale idź zaraz.

— Dobrze, pójdę zaraz.

Popatrzyli chwilę na siebie, on trzymał ciągle dziecko na rękach, uściśnął je znowu i oddał na ręce dziewczyny.

Na horyzoncie, między dwoma domostwami widać było pług ciągniony przez konia i mężczyznę idącego za pługiem. Na tle ciemniejącego wieczornego nieba przesuwali się obaj, koń i człowiek, lekko jak cienie.

Kobieta zaczęła na nowo.

— A więc cóż mówi twój ojciec?

— Mówi że nie chce.

— Dlaczego nie chce?

Chłopak wskazał ruchem głowy dziecko, które posadził z powrotem na ziemi, potem wzrokiem wskazał jej mężczyznę idącego w oddali za pługiem.

— Bo masz z nim dziecko, odrzekł.

Dziewczyna wzdrygnęła ramionami, a potem wybuchła z gniewem.

— I cóż z tego! Każdy wie że mam dziecko z Wiktorem. Więc co? czy to ja jedna co tak grzeszyłam? Moja matka tak grzeszyła przedtem nim mnie miała, a także i twoja,

zanim twój ojciec z nią się ożenił. Która tak nie robiła w naszej wsi? Tak! Ja zgrzeszyłam z Wiktorem, wziął mnie w stodole jak spałam, prawda, zgrzeszyłam z nim potem jak nie spałam, czyż przez to mniej jestem warta jak inne?

Chłopak odrzekł dobrodusznie:

— Ja cię chcę, taką jak jesteś, z tem dzieckiem, lub bez niego. Ojciec mój tylko się sprzeciwia ale i temu da się jakoś zaradzić.

— Idź zaraz do probostwa, mówię ci.

— Idę, idę...

I poszedł swym ciężkim krokiem wieśniaka, dziewczyna zaś z rękami na biodrach wróciła kopać ziemniaki.

Rzeczywiście Cezar Houlbrequé, syn głuchego, starego Amablea Houlbrequé'a chciał się ożenić wbrew życzeniu ojca z Celestyną Lèresque, która miała dziecko z Wiktorem Lecoq, zwyczajnym parobkiem we fermie jej rodziców, wypędzonego przez nich za to.

Na wsi nie istnieje zresztą kastowość hierarchii, i parobek jeśli jest pracowitym i weźmie fermę na siebie, staje się równym swemu dawnemu panu.

Cezar idąc z batem w ręce rozmyślał głęboko ciężko stąpając sabotami oblepionymi błotem.

Zapewne, pragnął poślubić Celestynę, wziąć ją razem z dzieckiem, była bowiem kobietą jakiej potrzebował. Nie umiałby wprawdzie określić dlaczego ale był pewnym swego wyboru. Wystarczyło mu tylko spojrzeć na nią by być o tem przekonany, aby się czuć dziwnym, całkiem poruszonym, jakby ogłupiałym ze zadowolenia. Przyjemnym mu było nawet uciszać dziecko Wiktora, bo było i jej zarazem. Bez nienawiści też patrzył na daleki profil człowieka, który popychał przed sobą pług daleko na kraju horyzontu.

Ale ojciec Amable przeciwnym był temu małżeństwu, sprzeciwiał się mu z zaślepieniem kaleki, z gwałtownym uporem. Nadaremnie Cezar krzyczał mu do jednego ucha, przez które jeszcze nieco słyszał:

— Będziemy się dobrze opiekować ojcem zapewniam cię że to jest dobra dziewczyna, pracowita, oszczędna.

Stary powtarzał zawsze: póki ja żyję nie zobaczę tego nigdy.

I nic nie mogło go poruszyć i osłabić jego uporu. Jedną tylko pozostawiała dla Cezara nadzieja. Ojciec Amable czuł lęk przed proboszczem lęk powodowany bliskością śmierci, którą czuł, że nadchodzi. Zresztą nie obawiał się tak bardzo ani Boga, ani diabła, ani piekła, ani czyścica, o których pojęcia nawet dobrego nie miał, ale obawiał się księdza, który był niejako uosobieniem pogrzebu, tak jak obawiać się można lekarzy przez lęk przed chorobami. Od ośmiu dni od których Celestyna poznała tę słabość starego, popychała Cezara, by poszedł do proboszcza. Cezar się wahał, nie lubił i on bowiem czarnej sutanny, która znowu dla niego przedstawiała ręce wyciągnięte po datek, lub lekko zarobiony kawałek chleba.

Zdecydował się atoli na to właśnie i skierował się ku probostwu, myśląc nad sposobem przedstawienia swej sprawy. Proboszcz Raffin, mały, żywy ksiądz, chudy, nigdy nie golony, czekał na obiad grzejąc nogi przed kominkiem. Za wejściem Cezara odwrócił zaledwie głowę i zapytał:

— A, to ty Cezar, — no i cóż ty mi powiesz?

— Pragnąłbym z Jegomością pomówić — odrzekł Cezar i zatrzymał się zakłopotany przy drzwiach, trzymając w jednej ręce bat, a w drugiej czapkę.

— Mów zatem.

Cezar spoglądając na starą gospodynię księdza, zajętą nakrywaniem do stołu, nieśmiało powiedział:

— Kiedy to proszę łaski księdza proboszcza, jest tak, jakby spowiedź.

Proboszcz Raffin, z uwagą spojrzawszy na wieśniaka, spostrzegł jego zakłopotanie, jego nieśmiałość i niespokojny wzrok i zawołał:

— Maryo, idź sobie na pięć minut do swego pokoju, mam coś do pomówienia z Cezarem.

Służąca gniewnym wzrokiem obrzuciła chłopaka i mruczając wyszła.

Ksiądz zwrócił się do Cezara:

— No, wywnętrz się Cezar.

Chłopak wahał się jeszcze, spoglądał na swoje saboty mnąc czapkę w rękach, potem nagle zdecydował się:

- Oto, żenić się chcę z Celestyną.
- Dobrze chłopcze, a któż ci to broni?
- Ojciec mój nie chce.
- Twój ojciec?
- Tak, mój ojciec.
- A cóż on ma przeciw temu?
- To, że ona ma dziecko.
- Ach, no! ona nie pierwsza, której się to zdarza od czasu naszej matki Ewy.
- Ona ma dziecko z Wiktorem, z Wiktorem Lecoq, służącym od Antyma Loisel.
- Tak, tak, — i dlatego on nie chce?
- Dlatego. — No i jakże ty go chcesz przekonać?
- Przedstawiam mu że ona jest dobrą dziewczyną, pracowitą i oszczędną.
- I to mu nie wystarcza? Chcesz zatem bym z nim pomówił?
- Bardzo proszę o to Jegomości.
- A cóż mam powiedzieć twemu ojcu, czem go przekonać?
- No, to co mówi ksiądz proboszcz na kazaniach, żeby skłonić do dawania składek.

W umyśle biedaka cały wysiłek religii polegał na otwieraniu sakiewek i wypróżnianiu kieszeni ludzi żeby napęlić skarbami niebo. W jego pojęciu było to jakby jakiś ogromny dom handlowy, którego agentami byli księża, agentami do tego przebiegłymi, chciwymi, zachłannymi agentami robiącymi interesa dla pana Boga, a ze szkodą wierzących biedaków. Wiedział wprawdzie dobrze, że księża czynią wiele dobrego, szczególnie dla najbiedniejszych, chorych, umierających, że pocieszają, radzą, podtrzymują — ale że w miarę swoich zasobów, w zamian za białe pieniążki pięknie błyszczące srebro, oplacające sakramenta, msze, rady, protekcje, przebaczenie grzechów lub ich pobłażanie, czyścicie albo raj w miarę bogactw i szczodrości grzeszników.

Ksiądz Raffin który znał swych ludzi nie obrażał się nigdy, roześmiał się.

— Dobrze mój drogi opowiem mu tę małą historyjkę, ale ty chłopcze musisz przyjść na to kazanie.

Cezar położył rękę jak do przysięgi:

- Przysięgam że przyjdę, jeśli ksiądz proboszcz dla mnie to zrobi.
- Zatem dobrze. A kiedyż ja mogę się z twoim ojcem zobaczyć?
- Im wcześniej, tem lepiej, zaraz — jeśli łaska.
- Będę za pół godziny, — przyjdę po wieczery.
- Za pół godziny!
- Zatem ułożone, — dowidzenia mój chłopcze.
- Do zobaczenia, bardzo dziękuję.
- Nie masz za co, mój chłopcze.

I Cezar powrócił do swego domu, czując że wielki ciężar spadł mu z serca.

Cezar Houlbreque dzierżawił małą, bardzo małą fermę, nie byli bowiem bogaci, ani on, ani jego ojciec. Żyli marnie, sami, przy pomocy służącej, dziecka lat piętnastu, która gotowała im pożywienie, pilnowała kur, doiła krowy i robiła masło. Cezar był dobrym rolnikiem ale zamało mieli ziemi i zamało bydła, ażeby wydobyć więcej ponadto co dla nich samych było konieczne. Stary już wcale nie pracował. Ponury jak wszyscy głusi, rozboleły, pomarszczone i przygarbione, łaził po polach podpierając się kijem, spoglądając na ludzi i zwierzęta wzrokiem twardym i nieufnym. Czasem siadał na brzegu rowu i trwał tak godzinami bez ruchu, zamyślony nad rzeczami, które niegdyś go obchodziły, nad cenami jaj lub zboża, nad deszczem lub słońcem, które pomagają lub przeszkadzają rósć plonom. I dręczone reumatyzmem jego stare członki, chłoneły jeszcze wilgoć ziemi, tak jak wchłaniały w siebie od lat siedmdziesięciu wyziewy murów jego niskiej chaty nakrytej wilgotnym poszyciem słomy.

O zachodzie słońca powracał do domu, zasiadał zawsze na tem samym miejscu w kuchni i kiedy postawiono przed nim garnek gliniany z zupą, obejmował go swymi pokręconymi palcami i grzał obie ręce, zimą czy latem, zanim rozpoczął jeść; ażeby nic nie stracić, ani odrobiny gorąca zużytego ognia, który drogo kosztuje, ani jednej kropli zupy okraszonej nieco tustością i solą, ani okruszyny chleba.

Po wieczerzy, wydrapywał się po drabinie na strych, gdzie miał swe legowisko ze słomy, syn zaś jego sypiał na dole w rodzaju niszy koło komina, służąca zaś zamykała się w rodzaju piwnicy, czarnej dziury, służącej niegdyś za schowek na ziemniaki.

Syn i ojciec prawie nigdy nie rozmawiali ze sobą. Od czasu do czasu tylko gdy rozchodziło się o sprzedaż zbiorów, lub kupno krowy, młody człowiek pytał się ojca o zdanie i robiąc z rąk rodzaj tuby, krzyczał mu do ucha swe argumenta.

Ojciec Amable zgadzał się lub sprzeciwiał głosem wolnym, skrzeczącym, wydobywanym gdzieś z brzucha.

Jednego wieczoru, Cezar zbliżywszy się do ojca tak, jakby się to rozchodziło o kupno konia lub krowy, oznajmił mu, krzyżąc na cały głos do ucha, że ma zamiar żenić się z Celestyną.

Stary zgniewał się. Dlaczego? Czy ze względu na moralność? Zapewnie że nie... Na wsi cnota dziewczyny niema znów takiej wartości. Ale jego skąpstwo, jego okrutny i głęboki instynkt oszczędności, oburzał się na myśl że syn jego będzie żywił obce dziecko. W jednej sekundzie myślał o tych wszystkich zupach i strawach, które połykałby ten dzieciak, zanimby doszedł do wieku kiedy stałby się pożytecznym przy gospodarstwie, obliczał wszystkie te kawałki chleba, te wszystkie szklanki jabłecznika któreby zjadł ten malec do lat czternastu, — i szalony gniew w nim się rozbudził na Cezara, który widocznie nie pomyślał o tem wszystkim.

Z gwałtownością wybuchnął:

— Czyś ty zmysły postradał, czy co?

Ale Cezar począł mu wyliczać swoje racje, opowiadać o przymiotach Celestyny, udowodniać że ona sama sto razy więcej zarobi, aniżeli ten malec będzie kosztował. Stary jednak nie wierzył w te korzyści i z uporem bez dalszych wyjaśnień obstawał przy swoim.

— Ja nie chcę, nie chcę... póki ja żyję to się nie stanie.

Od trzech miesięcy zostało na tem bez poróżnienia ich zresztą między sobą. Raz w tygodniu rozpoczynali na nowo tę samą dysputę, używając tych samych argumentów, tych samych słów, z tą samą beużytecznością.

Wtedy to Celestyna poradziła Cezarowi żeby udał się o pomoc do miejscowego proboszcza.

Wróciwszy do domu Cezar zastał swego ojca już przy stole, spóźnił się był bowiem z powodu swej bytności na probostwie.

Wieczerali w milczeniu, jeden naprzeciw drugiego, — zjedli po kawałku chleba z masłem po zupie, zapijając go szklanką jabłecznika, potem nieruchomo siedzieli na stolikach, zaledwie oświetleni płomykiem świecy, którą ich mała służąca przyniosła do mycia łyżek i szklanek i nakrajania kawałków chleba do śniadania o świcie dnia następnego.

Kołatanie do drzwi przerwało ciszę i równocześnie w progu zjawił się ksiądz. Stary podniósł na niego wzrok pełen podejrzania i przeczuwając niebezpieczeństwo, gotował się już do wygramolenia na swoją drabinę, kiedy ksiądz Raffin położywszy rękę na jego ramieniu, krzyknął mu w twarz:

— Mam coś do pomówienia z wami, ojcie Amable.

Cezar korzystając z otwartych drzwi, zniknął. Tak się bał, że nie chciał nic słyszeć. Nie chciał, żeby jego nadzieja rozpadała się z każdym słowem odmownem jego ojca. Wolał naraz potem dowiedzieć się całej prawdy, złej, lub dobrej, byle później. I puścił się w noc ciemną. Był to wieczór bezksiężycowy, wieczór bez gwiazd, jeden z tych mglistych wieczorów, kiedy powietrze staje się szarem i ciężkiem z przesylenia wilgocią.

Mdła woń ziemniaków rozchodziła się z podworców, był to bowiem czas kopania ziemniaków. Z ciasnych otworów stajen mijanych przez Cezara, wydobywały się gorące opary spiących bydła na gnijącej słomie, ze stajen dochodził go łupot koni stojących u żłobu i chrzęst wyciąganego z poza drabin siana.

Idąc przed siebie, myślał o Celestynie. W tym prostym umyśle, w którym idee niebyłyby niczem innym jak obrazami czerpanymi wprost z odbieranych wrażeń, uczucia miłosne powstawały wywołane jedynie obrazem wielkiej czerwonej dziewczki, stojącej na skrócie drogi, śmiejącej się, z rękami na szerokich biodrach.

W taki sam sposób spostrzegł jednego dnia pragnienie Celestyny. Znali się przecież od lat dziecińczych, nigdy jednak przedtem, jak tego ranka, nie zwrócił na nią swojej uwagi. Wtedy rozmawiał z nią czas krótki, potem odszedł i idąc myślał i powtarzał sobie: O Chryste! Jakaż to piękna dziewczyna. Jaka szkoda że zblądziła z Wiktozem. — Do wieczora myślał wciąż o tem, tak samo nazajutrz.

Gdy się na trzeci dzień znowu z nią zobaczył, uczuł coś w rodzaju laskotania w głębi gardła, jakby mu kto przez usta wsadził pióro kogucie i niem kręcił, a potem ilekroć z nią się spotykał, odczuwał ten sam rodzaj tego dziwnego laskotania.

W trzy tygodnie potem postanowił ożenić się z nią, — tak mu się spodobała.

Poprzednim jej błędem nawet się nie niepokoił. Ostatecznie przez to było gorzej, ale jeszcze nie całkiem źle, — nie miał nawet urazy o to do Wiktora.

Ale jeśli proboszcz u ojca jego nic nie uzyskał co będzie robił? — Myśl ta zaniepokoiła go tak, że nie chciał nad nią zatrzymywać się dłużej.

Poszedł pod plebanię, usiadł przed małą furtką i oczekiwał powrotu proboszcza.

Pół godziny upłynęło gdy usłyszał kroki na drodze i mimo że noc była ciemna, różnił jeszcze silniejszy cień sutanny. Porwał się na nogi nie śmiać nawet przemówić, niechcąc nawet dowiedzieć się prawdy.

Ksiądz spostrzegł go i zawołał wesoło:

— No, mój drogi chłopcze, sprawa twoja jest załatwiona.

Cezar nieśmiało przemówił:

— Załatwiona!... Czy to możliwe?

— Tak mój chłopcze, — choć nie bez trudu — Co za stary nudziarz ten twój ojciec!

Wieśniak powtarzał: Niemożliwe, niemożliwe!

— Tak, tak! — mój chłopcze. Przyjdź do mnie jutro w południe dać na zapowiedzi.

Cezar pochwycił gorąco rękę proboszcza, ścisnął ją, wstrząsał, pocierał, bełkocząc:

— A więc to prawda, prawda! Księżę proboszczu... słowo honoru, zobaczy mnie z pewnością ksiądz proboszcz, w niedzielę na kazaniu.

II

Ślub odbył się w połowie grudnia, był bardzo skromny, nowożeńcy nie byli bowiem bogaci, Cezar odziany w nowe ubranie, o godzinie ósmej rano był już gotów, by udać się po swą narzeczoną i zaprowadzić ją do mera. Ale było jeszcze zawczasie, siadł zatem przy stole w kuchni i oczekiwał swych krewnych i kilku przyjaciół, którzy mieli asystować tej uroczystości.

Od dni ośmiu padał śnieg i czarne role pokryte już jesiennymi zasiewami obieleł lodowaty szron.

Zimno było w chatkach okapturzonych białą warstwą śniegu, sady okryte sędzieliną zdawały się kwitnąć, obielone jak w pięknych miesiącach pokwitania.

Tego dnia, wielkie chmury pędzone zimnym wiatrem północnym zniknęły i błękit nieba rozciągał się nad pobieloną ziemią, na którą padały srebrzyste promienie słońca.

Cezar patrzył przed siebie przez okno, nie myśląc o niczem... szczęśliwy...

Drzwi otworzyły się, weszły dwie kobiety odświętnie ubrane, ciotka i kuzynka narzeczonej, trzech mężczyzn, jej kuzynów, potem jedna sąsiadka. Pousiadali w milczeniu na stołkach, nawet nie poruszając się, kobiety w jednym, mężczyźni w drugim kącie izby, onieśmieleni tym zakłopotaniem, które obejmuje ludzi zebranych dla jakiejś uroczystości.

Jeden z kuzynów wkrótce zapytał:

— Czy to już nie czas?

Cezar odpowiedział:

— Myślę że już czas.

— A więc chodźmy — zawołał drugi.

Wszyscy podnieśli się. Wtedy Cezar nagłym niepokojem ogarnięty, wydrapał się po drabinie na strych, żeby zobaczyć czy jego ojciec jest gotów. Stary zawsze rano zwykle wcześniej już gotowy, teraz nawet się nie pokazał. Syn znalazł go jeszcze na jego legowisku, zawiniętego w kołdrę, oczy otwarte, mina zła. Zakrzyczał mu wprost do ucha:

— No mój ojczu, wstawajcie! czas iść na ślub.

Stary zamruczał głosem bolesnym:

— Nie mogę, nie jestem w stanie, czuję jakies zimno, całe plecy mam oziębnięte, ani się ruszyć nie mogę.

Młody człowiek zdumiony spoglądał na niego, przeczuwając wybieg.

— Chodźcie ojcze, — trzeba się przewyciężyć.

— Nie mogę!

— Czekaście, — ja wam pomogę.

Schylił się nad starcem, odwinął go z kołdry wziął w swe ręce i postawił na nogi, — Ale stary począł jęczeć.

— O jej! O la Boga, — ja nieszczęśliwy, — hu, hu, nie mogę, jestem sparaliżowany, to wiatr przewiał mnie przez ten przeklęty dach.

Cezar zrozumiał że nic nie uzyska i wściekły pierwszy raz na swego ojca zawołał:

— A no dobrze, — to nie dostaniecie dzisiaj obiadu, bo my mamy zamówiony obiad o oberży Pollyta. Może to osłabi waszą zaciętość.

Zgramolił się z powrotem po drabinie, poczem udał się w drogę, za nim jego krewni i goście.

Mężczyźni pozawijali u dołu spodnie, aby ich śniegiem nie zawałać, kobiety popodnosiły spódnice odkrywając chude łydki ubrane w pończochy z szarej wełny. I szli jeden za drugim w milczeniu, uważając by nie zejść ze ścieżki wydeptanej w śniegu przez poprzedników.

W przechodzie przez wieś, kilka osób przyłączyło się do orszaku i procesya ta wydłużyła się w nieskończoność, wijąc się na drodze zaledwie widocznej jak żywy różaniec o ruchomych czarnych paciorkach, falujący na białym tle krajobrazu.

Przed domem narzeczonej liczna grupa oczekiwała nadejścia narzeczonego. Zjawienie się go przyjęto okrzykami. Wkrótce potem wyszła Celestyna ubrana w niewielką suknię, okryta w mały czerwony szalik na ramionach, ustrojona w kwiat pomarańczowy we włosach.

Każdy dopytywał się Cezara:

— A gdzież jest twój ojciec?

Odpowiadał zakłopotany.

— Nie może się nawet ruszyć, ma jakieś boleści.

Wieśniacy ze złośliwym uśmiechem kiwali niedowierzająco głową.

Skierowali się ku merostwu. Z tyłu za przyszlými małżonkami jedna wieśniaczka niosła dziecko Wiktora, jakby rozchodziło się o chrzest, wieśniacy zaś teraz parami, trzymając się pod ręce szli po śniegu, kołysząc się jak szalupa na morzu.

W małym domku municypalności, mer połączył naręczonych, potem zaś ksiądz swoją koleją połączył ich w skromnym domie Bożym. Przemawiając od ołtarza obiecywał im błogosławieństwo Boże, potem przypomniiał im cnoty małżeńskie, zdrowe a proste cnoty wieśniacze, pracę, zgodę i wierność podczas czego dziecko zziębnięte kwiliło za plecami panny młodej.

Za zjawieniem się młodej pary u progu kościoła, z rowu cmentarza zabrzmiały wystrzały ze strzelb. Widać było tylko wyloty luf, z których wydobywały się nagle obłoki dymów, po chwili pokazała się jakaś głowa i spoglądała ciekawie na orszak weselny. Był to Wiktor, czczący w ten sposób ślub swej przyjaciółki i wykrzykujący jej swe życzenia wśród wystrzałów, do czego zebrał kilku swoich przyjaciół, pięciu czy sześciu parobków. Epizod ten znalazł u uczestników powszechne uznanie.

Uczta odbywała się w oberży Polyta Cacheprune'a, w dzień jarmarczny na dwadzieścia nakryć. Ogromny udziec barani obracany na rożnie, kurczęta pieczone na własnym tłuszczu, kielbasa skwiercząca na żywym jasnym ogniu, napełniały dom ciężkim zapachem tłuszczów i wiejskiego pożywienia.

Zasiedli do stołu w południe, natychmiast zupa polala się na talerze i towarzystwo zaraz się ożywiło. Usta otwierały się ażeby opowiadać dowcipy, oczy śmiały się ze znaczącym mruganiem. Zaczęto się bawić w całej pełni.

W tem drzwi się otworzyły i zjawił się ojciec Amable. Miał minę złą, humor wściekły, włókł się na swoich laskach, jęcząc za każdym krokiem, by w ten sposób dać poznać że jest cierpiącym. Na jego widok zamilkli wszyscy, atoli nagle jego sąsiad, ojciec Molivoire,

znany dowcipniś, który znał wszystkie słabostki ludzi, począł krzyzczeć zrobiwszy z rąk rodzaj tuby:

— He, stary żarłoku, ale ty masz nos, żeś poczuł aż od siebie kuchnię Polita.

Obecni wybuchli ogromnym śmiechem, a Malivoire zachęcony tem powodem: „Na boleści niema nic lepszego jak kataplazm”.

Mężczyźni aż zaryczeli ze śmiechu, bili pięściami w stół, tupali nogami o podłogę. Kobiety skrzeczały jak kury, służące zanosily się od śmiechu, stojąc pod ścianą. Jeden tylko ojciec Amable nie śmiał się i nic się nie odzywając, czekał ażeby zrobiono mu miejsce.

Posadzono go w środku stołu, naprzeciw synowej, on zaś jak tylko usiadł zaraz wziął się do jedzenia. Przecież to syn jego to wszystko płacił, należało więc użyć sobie.

Z każdą łyżką zupy, która wpadała do jego żołądka, z każdym kęsem chleba, albo mięsa, kładzionym do ust, z każdą szklanką jabłeczniaka i wina, którą wlewał do gardła, zdawało mu się, że odzyskuje nieco ze swojego dobra, że odbiera nieco ze swoich pieniędzy, które wszyscy ci darmozjady pożerali, że ratuje choć odrobinę swojego mienia. — I zajadał się w milczeniu z przejęciem chciwca, który dusi pieniądze z twardą wytrwałością, jaką dawniej wkładał w swoją ciężką pracę.

Wtem nagle spostrzegł na końcu stołu dziecko Celestyny siedzące na kolanach jednej z kobiet. Jedząc dalej nie spuszczał już z oka tego malca, któremu jego niania dawała czasem do ust po kawałeczku pieczeni. I więcej cierpiał ten starzec nad tymi kilkoma kęsami, które zessało to dziecko, aniżeli nad tem wszystkim co polykali drudzy.

Uczta trwała do wieczora a potem każdy wrócił do swojego domu.

Cezar podniósł swojego ojca:

— Chodźmy ojczy, trzeba wracać.

I pomógł mu wziąć do ręki jego dwie laski, Celestyna wzięła na rękę swoje dziecko i poszli powoli, wśród nocy, którą rozjaśniała biel śniegu. Stary kaleka w trzech czwartych pijany i przez to jeszcze bardziej przykry, upierał się ażeby iść powoli. Kilka razy nawet usiadł w tej myśli że może jego synowa się zaziębi, i stękał i jęczał nic zresztą nie mówiąc i w ten sposób objawiał swoje rzekome cierpienie.

Za powrotem do domu, wylazł natychmiast na swój strych, podczas gdy Cezar ustawiał łóżko dla dziecka w pobliżu niszy, w której wraz z żoną miał się położyć na spoczynek.

Młodzi małżonkowie, długo jeszcze w noc słyszeli jak stary przewracał się na swoim posłaniu ze słomy. Słyszeli nawet jak kilkakrotnie głośno mówił, jakby przez sen, czyto jakby mimo woli pozwolił głośno wyrwać się swojej myśli, nie mogąc jej stłumić w sobie pod wrażeniem wielkiej przykrości.

Kiedy nazajutrz zeszedł po swojej drabinie, zastał już swoją synową krzątającą się koło gospodarstwa.

— Spieszcie się ojczy, czeka już na was dobra zupa — zawołała.

Na rogu stołu postawiła przed nim ogromny garnek gliniany, pełen dymiącego płynu, stary usiadł, nic nie odpowiadając i wedle swego zwyczaju objął garnek swemi drżącymi rękoma, że atoli było wielkie zimno, przyciskał garnek nawet do swej piersi, ażeby w ten sposób wprowadzić w swoje stare ciało, zniszczone niewygodami nieco orzeźwiającego ciepła gorącej wody.

*

Minęła zima, była długa i ciężka. Z pierwszymi kielkami wiosny wieśniacy na nowo jak pracowite mrówki rozpoczęli pracę w polach, od świtu do nocy, smagani wiatrem i deszczami na długich bruzdach ziemi, pracując na chleb codzienny.

Dla nowożeńców dobrze zapowiadał się rok nowy. Zboża rosły bujnie i gęsto, nie uszkodzone przez spóźnione mrozy, kwitnące zaś sady zrzucały z siebie zieloną ruń trawy, swoje różowe i białe płatki kwiecistego śniegu, które obiecywały na jesień obfitość owoców.

Cezar pracował ciężko, wstawał wczesnym rano, a późno powracał, żeby zaoszczędzić sobie wydatku na robotnika. Żona jego niejednokrotnie mu powtarzała:

— Jeszcze sobie w końcu zrobisz co złego.

— Zapewniam cię że nie, jestem do tego przyzwyczajony — odpowiadał.

Jednego atoli wieczoru wrócił tak zmęczony, że musiał się położyć nie zjadłszy nawet wieszery. Nazajutrz wstał wprawdzie o zwyczajnej godzinie, nie mógł atoli jeść mimo, że pościł dnia poprzedniego i wśród południa zmuszony był się położyć na nowo. W nocy chwycił go gwałtowny kaszel; i przewracał się na posłaniu gorączkując, z rozpaloną głową, o suchym języku, dręczony palącym pragnieniem. Pod wieczór poszedł jeszcze zaglądnąć na pola, ale nazajutrz musiano zawołać lekarza, który znalazł go bardzo chorym, konstatając zapalenie płuc.

I już więcej nie opuścił swojej ciemnej niszy, która mu służyła za legowisko. Z głębi tej dziury słyhać było jego kaszel, jego oddech dyszący, jego przewracanie się. Ze świecą trzeba było wchodzić do tej ciemnicy, ażeby go zobaczyć, ażeby mu podać lekarstwo, lub stawiać bańki. Sposprzedz wtedy było można jego wynędzniałą twarz, okoloną długim zarostem, ponad którą zwisała i powiewała koronka gęstej pajęczyny poruszana powietrzem. A ręce chorego leżące na szarem sukienem pokryciu zdawały się należeć już do nieżyjącego.

Celestyna pielegnowała go z niespokojną ruchliwością, podawała mu lekarstwa, przykładała mu kompresy, krzątała się po domu, podczas gdy ojciec Amable siedząc na krawędzi swojego strychu, zdaleka szpiegował ciemną jamę, w której syn jego dogorywał. Nie zbliżał się wcale do niego z nienawiści do jego żony, zły na nią jak pies zazdrosny.

Sześć dni jeszcze upłynęło, wreszcie jednego poranku, kiedy Celestyna, która sypiała teraz na dwóch snopkach słomy, rzuconych na podłogę, poszła zobaczyć jak się ma jej mąż, nie usłyszała już jego oddechu. Prerażona zawołała: no, Cezar, co ty mi dziś powiesz?

Ale on nic już nie odpowiedział.

Wyciągnęła rękę, dotknęła się go i poczuła zimne ciało. Wielki krzyk wydarł się z jej piersi, bolesny krzyk mdlejącej kobiety. Cezar nie żył...

Na ten krzyk stary kaleka zjawił się na górze swojej drabiny; i kiedy spostrzegł, że Celestyna wybiegła do sąsiadów po pomoc, szybko zeszedł na dół, dotknął się ciała swojego syna i zrozumiał co się stało, poszedł i zamknął drzwi chaty od wewnątrz ażeby przeszkodzić Celestynie w powrocie i objęciu domu w posiadanie skoro syn jego już nie żył.

Następnie usiadł na stołku w pobliżu trupa swojego syna.

Sąsiedzi przybiegłszy wołali i tłukli się. On ich nie słyszał. Jeden z nich rozbił szybę w oknie i wskoczył do izby. Drudzy zrobili to za nim i otworzyli drzwi. Celestyna także się zjawiła płacząc na cały głos, policzki miała spuchnięte, oczy czerwone. Wtedy ojciec Amable zwyciężony, nie rzekłszy ani słowa, wydrapał się na swój stryszek.

Nazajutrz odbył się pogrzeb, a po tym smutnym obrzędzie teść i synowa znaleźli się sami z dzieckiem w chacie.

Była to zwykła godzina obiadu. Ona rozpałała ogień, rozdzieliła zupę i postawiła talerze na stole; stary zaś czekał siedząc na krześle i nie spoglądając nawet na nią.

Kiedy obiad był gotów zakrzyzczała mu do ucha:

— Chodźcie mój ojczy, trzeba coś zjeść.

Stary podniósł się, siadł na końcu stołka, wypróżnił swój garnek zupy, zjadł swój kawałek chleba posmarowany masłem, wypił swoje dwie szklanki jabłeczniaka, zabrał się i wyszedł.

Było jeden z tych dni łagodnych, jeden z tych dni dobroczynnych, w których życie drży, wzmaga się i kwitnie na całej powierzchni ziemi.

Ojciec Amable szedł małą ścieżką prowadzącą wśród pól. Idąc spoglądał na młode zboża i młode owsy, a myślał o tem że jego biedne dziecko było już teraz w ziemi. Wlókł się swym zmęczonym krokiem, ciągnąc za sobą nogi i potykając się. A że był samotny w całej równinie, samotny pod jasnym lazurem nieba, wśród rosnących zbóż, sam jeden z jaskółkami, które bez szmeru przelatywały nad jego głową, więc idąc począł płakać. Następnie usiadł w pobliżu jednej kałuży i tam trwał aż do wieczora patrząc na ptaki, które zlatywały się pić z niej wodę, wreszcie gdy już noc zapadała, wrócił do domu, zjadł wieszery i nic nie mówiąc wydrapał się na swój strych.

I życie poszło dalej tym samym trybem. Nic się nie zmieniło z wyjątkiem tego, że syn jego Cezar spał na cmentarzu.

Cóż zresztą miał robić? Nie mógł już pracować, nie był już do niczego więcej zdolny jak do spożywania tej stawy, którą mu podawała jego synowa. I zjadał ją w milczeniu

wieczór i rano, śledząc wściekłym wzrokiem malca, który po drugiej stronie stołu zajął się. Następnie wychodził, włóczył się po okolicy, chował się za stodoły i sypiał za niemi jedną lub dwie godziny, jakby nie chciał być widzianym, a wieczorem wracał do domu.

Tymczasem wielkie kłopoty zaczęły prześladować Celestynę. Pola potrzebowały gospodarza któryby je nadzorował i na nich pracował. Potrzeba było ciągle kogoś ktoby był w polu, — nie zwykłego najemnika, lecz prawdziwego rolnika, gospodarza, znającego się na zawodzie i troskach gospodarstwa. Sama jedna kobieta nie mogła dozorować uprawy pól, troszczyć się o cenę ziarna, zajmować się kupnem lub sprzedażą bydła. Różne myśli przychodziły jej wtedy do głowy, myśli pojedyncze, praktyczne, na których trawiła całe noce. Nie mogła się powtórnie wydać zamaż przed upływem roku, a tu trzeba było natychmiast przypilnować nie cierpiące zwłoki interesu.

Jeden zaś tylko człowiek mógł ją wybawić z tego kłopotu, to Wiktor Lecoq, ojciec jej dziecka. Był dzielnym robotnikiem rozumiejącym się na sprawach gospodarskich. Z odrobiną pieniędzy w kieszeni jaką miał, mógł się stać dla niej doskonałą pomocą.

Wiedziała o tem wszystkim jeszcze z czasu kiedy pracował u jej rodziców.

Jednego dnia zatem zobaczywszy go przejeżdżającego mimo jej chaty z furą nawozu, wyszła ku niemu. Kiedy ją spostrzegł zatrzymał konie, ona zaś odezwała się do niego tak, jak gdyby nie widziała go dopiero od wczoraj.

— Dzień dobry Wiktor, jakże ci się powodzi?

— Dobrze, jak zwykle, odpowiedział. A tobie?

— A, mnie szłoby nie źle gdybym nie była sama w domu, mam masę kłopotów ze względu na pola.

Rozmawiali wówczas długo oparci o koło ciężkiego wozu. Mężczyzna kilka razy pocierał czoło pod czapką i namyślał się, podczas gdy ona, zarumieniona mówiła z zapalem, przedstawiała mu swoje argumenta i kombinacje i swoje projekta na przyszłość. W końcu on odpowiedział:

— Tak, może to i będzie dobrze.

Ona podała mu rękę, jak to czynią wieśniacy przy zawarciu umowy i zapytała jeszcze:

— A zatem to ułożone?

— Tak, ułożone, odpowiedział i ścisnął podaną mu rękę.

— A zatem do niedzieli?

— Tak, do niedzieli.

— Bądź zdrów Wiktor.

III

W niedzielę wypadał odpust we wsi, coroczny odpust patrona miejscowej parafii. Od ośmiu dni pełne były drogi przeróżnych zaprzęgów i wehikulów, wiozących całe familie jarmarcznych przekupniów, przedsiębiorców loteryj, przeróżnych gier i najrozmaitszych ciekawości.

Brudne bryczki z powiewającymi na wietrze firankami, którym towarzyszył smutny pies biegnący między kołami ze spuszczoną głową, zatrzymywały się jedna za drugą na placu przed merostwem. Następnie przed każdym takim podróżującym pomieszkaniem stawiano namiot, a przez dziury w płótnie widać było różne świecące przedmioty, które tylko podniecały ciekawość i chęci do kupna przechodzących.

W dzień odpustu od samego rana wszystkie baraki i namioty były otwarte, rozpostierając przed oczami widzów swoje wspaniałości ze szkła i porcelany, a wieśniacy idący na mszę, wzrokiem zadowolenia spoglądali na te skromne wystawy, które przecież oglądali co roku. Od południa wił się tłum ludzi na placu. Ze wszystkich sąsiednich wsi i folwarków przybywały kobiety z dziećmi, niektóre wioząc je na wózkach dzwoniących żelazem i zataczających się na boki. Inni zatrzymywali się i wyprzęgali u swoich przyjaciół. Podwórza zwykle zamknięte, natłoczone były najrozmaitszymi brykami, wysokimi, wązkimi, koślawemi, podobnemi do jakichś przedpotopowych towarów. Każda familia z niemowlętami na przodzie, ze starszemi z tyłu udawała się na to zebranie z miną uśmiechniętą, z widocznym zadowoleniem nadarżającej się rozrywki.

Tu jarmarczny akrobata dał w trąbę, tam kataryniarz wygrywał melodye skoczne, to znów płaczące, koła szczęścia zgrzytały jak płótno przy rozdieraniu. Wystrzały z karabinu

rozbrzmiewały raz po raz. A tłum przelewał się powoli przed namiotami jak płynące ciasto, cisnąc się jak trzoda, następując sobie na nogi i wzajemnie sobie wymyślając.

Dziewczęta trzymając się pod ręce szły rzędami po sześć, po ośm i piały piosenki. Chłopcy szli za nimi podśmiewając się, czapki na bakier, porozpinani, zadowoleni ze siebie.

Cała okolica tam była, gospodarze, gospodynie, parobcy i służące.

Także i ojciec Amable ubrany w swój staroświecki i spelźnięty surdut, zapragnął być na tem zebraniu, nigdy go bowiem nie opuścił. Gapił się na loteryę, zatrzymywał się przed budami do strzelania, śledząc wyniki strzałów, najbardziej jednak zainteresował się wielką figurą przedstawiającą wymalowanego na desce pajaca, z dużym otworem zamiast ust, do którego rzucało się piłki.

Nagle ktoś trącił go w ramię. Był to ojciec Malivoire.

— A, mój stary, chodź ze mną, zapraszam cię na szklaneczkę.

Po chwili usiedli za stołem szalasu, zbudowanego na wolnem powietrzu; wypili najpierw po jednej szklance, drugiej a wreszcie i trzeciej. Następnie ojciec Amable powrócił do swojej wólczgi po jarmarku. Atoli myśli jego były już trochę zamroczone, uśmiechał się sam nie wiedząc do czego, uśmiechał się przed loteryami, przed karuzelą a przedewszystkiem przed zabawą we wojnę. Najdłużej tu się zatrzymał, zachwycając się jak któryś z amatorów celnym strzałem powalił żandarma albo księdza, jedną z tych powag których instynktownie się obawiał. Wrócił jeszcze następnie do tego samego szalasu i dla orzeźwienia się, wypił jeszcze szklankę jabłecznika na swój rachunek. Tymczasem noc nadeszła. Jeden ze sąsiadów przestrzegł go: Eh, mój ojciec bo wróćcie jak będzie już po wieczery.

Ojciec Amable zabrał się z powrotem do swojej chaty. Łagodny zmierzch wiosennego wieczoru powoli rozciągał się nad ziemią.

Kiedy stanął przed drzwiami zdawało mu się że przez oświetlone okna widzi dwie osoby wewnątrz domu. Zatrzymał się najpierw zdziwiony bardzo, później wszedł i spostrzegł siedzącego za stołem przed miską pełną ziemniaków Wiktora Lecoq, który jadł wieczrę na miejscu, które dawniej syn jego zajmował. I nagle odwrócił się jak gdyby chciał sobie pójść. Celestyna spostrzegłszy go zerwała się i zawołała za nim:

— Chodźcie ojciec, mamy doskonałą pieczeń na uczczenie dzisiejszego zebrania. Mimowoli zatem posłuchał, usiadł za stołem spoglądając raz po raz to na mężczyznę, to na kobietę, to na dziecko. Następnie wziął się do jedzenia, jadł powoli, chciwie, jak zwykle.

Wiktor Lecoq zachowywał się tak, jak u siebie w domu, rozmawiał od czasu do czasu z Celestyną, brał dziecko na kolana. Celestyna zaś podsuwała mu pożywienie i dolewała jabłecznika widać było że czuła się bardzo zadowolona. Ojciec Amable śledził ich pilnym wzrokiem nie słyszał jednak co do siebie mówili. Kiedy skończył jeść, dotknięty że mu mało dano i nie najadł się do syta, — podniósł się i zamiast wyleźć na strych jak to czynił co wieczór, otworzył drzwi od podwórza i wyszedł.

Celestyna zaniepokojona zapytała: Co on wyprawia?

— Nie martw się tem, wróci z pewnością jak się zmęczy.

Wtedy ona zajęła się porządkowaniem, myła talerze, ścierała stół. Wiktor zaś począł się rozbierać ze spokojem. Następnie wsunął się do ciemnej i głębokiej niszy, gdzie przedtem sypiała z Cezarem.

Drzwi od podwórza otwarły się znowu i ojciec Amable zjawił się w nich. Rozglądał się na wszystkie strony z miną psa który wietrzy. Szukał Wiktora Lecoq, a nie widząc go wziął ze stołu świecę i zbliżył się do ciemnej jamy, w której syn jego umarł. W głębi spostrzegł śpiącego Wiktora wyciągniętego pod nakryciem. Wtedy stary kaleka wrócił się spokojnie, postawił świecę z powrotem na stole i wyszedł jeszcze raz na podwórze.

Celestyna ukończyła sprzątanie, uspiła swe dziecko, poustawiała wszystko na swoim miejscu i czekała tylko na powrót starego, żeby położyć się przy boku Wiktora. Oczekiwała siedząc na stołku, zwiesiwszy beczynn timerce i patrząc bezmyślnie w przestrzeń.

Gdy nie wracał, niespokojnie i ze złością szepnęła do siebie:

— Ten stary próżniak gotów nas jeszcze podpalić.

Wiktor odezwał się z głębi swojego legowiska:

— Będzie już godzina jak wyszedł, idź na dwór i zobacz czy nie zasnął na ławce przed drzwiami.

Celestyna wstała, wzięła światło i wyszła zasłaniając świecę ręką, by lepiej widzieć. Nikogo jednak nie zobaczyła przed drzwiami, — ławka zaś była pustą. Także przy stodółce, gdzie stary lubił siadywać czasami — nie zastała nikogo.

Gdy już miała wracać, podniosła przypadkiem oczy na wielką jabłoń stojącą u wrót podwórza i spostrzegła nagle dwie nogi ludzkie, które zwisały na wysokości jej twarzy.

Przestraszona okropnie krzyknęła:

— Wiktorze! Wiktorze! Wiktorze!

Na ten krzyk przybiegł Wiktor, — ona jednak nie mogąc mówić z przestachu, wskazała mu tylko ręką na drzewo, równocześnie odwracając głowę w przeciwną stronę aby nic nie widzieć.

Wiktor nie rozumiejąc o co się rozchodzi, wziął z jej ręki światło i oświetlił drzewo, tu z przerażeniem spostrzegł ojca Amable wiszącego wysoko na stajennym powrózku.

Drabinka oparta o pień jabłoni sterczała jeszcze.

W jednej minucie pobiegł do komory chwycił za sierp — wydrapał się na drzewo i przeciął sznur. Z głuchym łoskotem spadł trup na ziemię.

Stary już nie żył, — był zimny, a z wykrzywionych boleśnie jego ust, zwiisał siny język.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ojciec-amable>

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, *Wybór pism. Ojciec Amable i inne nowele*, tłum. anonimowy, księgarnia i drukarnia związkowa w Chrzanowie, Kraków-Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0525-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.